

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

6

— Niepodobna! — zaprzeczyła gorąco Natalia. — W małżeństwie musi panować szczerść, wzajemne zaufanie i prawdomówność. Nie wyobrażam sobie, ażeby w inny sposób można żyć zgodnie.

— To w teorii, — uśmiechnął się Marski, — ale w praktyce inaczej.

— O! Nie u mnie! — zawołała Natalia, — spytaj się pan mego męża.

— Gdybym miała córkę, — uśmiechnęła się Stasia zagadkowo, — wydałabym ją tylko za takiego, jak pan Szabelski... i on byłby szczęśliwy, zaś ona... swobodną.

Mężczyźni zaśmiali się, a Natalia, nie znajdując na razie ciętej odpowiedzi, powiedziała z dobrą miną:

— Istotnie, mąż mój jest idealnie dobry, ale też bardzo wybredny w wyborze i nie wiem, czy ożeniłby się z córką pani.

— Dlaczego?

— Może bałby się mamy, — zaśmiała się wesóło.

— Pani ma słusność, bo gdybym miała córkę, toby jej brakowało tak jak i mnie zalet artystycznych, — westchnęła, — nawet w teatrze amatorskim nie mogłabym występować.

— Obmawia pani siebie, — powiedziała przyjaźnie Natalia, — pani ma wszelkie warunki na artystkę. Wzrost, wydatne rysy twarzy i wielkie oczy.

— Niestety... tylko w oczach kochanej pani posiadam te zalety, które u pani są w rozkwicie.

— Pierwszy raz widzę, — zaśmiał się Marski, — że kobiety oddają sobie wzajemnie sprawiedliwość.

Istotnie obydwie panie są stworzone na przyjaciółki... uzupełniać się wzajemnie.

— Ja mam już przyjaciółkę, — rzekła zimno Stasia.

— I ja również, — powiedziała Natalia, — Romcia jest mi najmilszą przyjaciółką.

— Jeśli tak, dlaczego pani nie zwróci jej uwagi, ażeby bardziej stosowała się do mody? Taka ładna, miła osoba, a kocha się w przestarzałych modach, — zauważył Marski.

— To wina jej męża, — usprawiedliwiała Natalia swą przyjaciółkę, — zresztą jej we wszystkim do twarzy... ona taka ładna.

— No, znów tak bardzo, to nie, — rzekł Niedzicki, — i jeśli o niej może ktoś powiedzieć: ładna, jak ma nazwać panią?

— Może ona ma zalety ukryte, — uśmiechnął się Marski, — ale na ulicy robi wrażenie nieoszlifowanego klejnotu.

— O, pan bardzo wymagający, — broniła Natalia, — ona jest bardzo dobra, zająca i kochana.

— A co mi do jej cnoty, — zaśmiał się głośno Marski, — to obchodzi co najwyżej jej męża i spowiednika. Ja zaś patrzę, czy ma ładną nóżkę, dobrą figurę, obcisłą rękawiczkę i kapelusik do twarzy. A ona, musi pani przyznać, chodzi dość zaniedbana.

— No tak, — skinęła główką Natalia, — ona istotnie ubiera się nieodpowiednio, ale to nie jej wina.

— Ja się nie pytam czyja, faktem jest, że kobieta, która chce się podobać, musi dbać o strój, jak na przykład pani Stasia! Jaka sukienka szykowna, i kapelusik i pantofelki i...

— No, no, Julku, nie rozbieraj znów tak pani Stasi, bo zabrniesz za daleko, — zaśmiał się Niedzicki.

Panie, na które alkohol poczał już działać, zaśmiali się głośno. Oczy miały wyraz wyzywający, usta gotowe były do śmiechu, policzki rumieniły się i ruchy były swobodniejsze.

— Z pana jest miły towarzysz, bo wesół, — powiedziała Stasia tonem marzącym.

— Odstąpię go pani, ja wolę poważniejszych, — zaśmiała się Natalia, kokietując oczyma Marskiego.

— Nie jestem tłomokiem, — udał Niedzicki obrażonego, — ażeby mną rzucać do kątów, chyba, że to zakątek rozkoszny.

— Tego nie wiem, — śmiała się Natalia, — może kto inny mógłby o tem powiedzieć, — patrzyła na Marskiego.

— O, nie ja! — zaprzeczył zbyt pośpiesznie, co wywołało wybuch śmiechu Natalci, a Niedzicki, który uczuł żądło zazdrości z powodu powodzenia Marskiego u Natalci, zawołał niby żartobliwie:

— To się nazywa dyskrecja, niedyskretna! O, Julek potrafi takie rzeczy. Podejrzewaliśmy go o romans z jedną mężatką, wypierał się najsolennie, aż raz, opowiadając, zapomniał się i cytuję jej słowa: „Mój Julku, tak dłużej być nie może, musimy wyjechać z miasta, tu za wiele strachu!” Cośmy się też naśmiali!

— Raz mi się zdarzyło, piłem za dużo, — usprawiedliwiał się.

— A tak dużo mówi pan o swej dyskrecji, — zadrwiła Stasia.

— Panie i panowie, już pół do jedenastej, — wstał Marski, — idę łagodzić mężów... A ty, Lolku, nie pójdziesz?

— Wpierw odprowadzę panie.

— Powiedz: odprowadzimy, bo ja mam obowiązki względem pani Stasi.

— Zwalniam od obowiązków, — powiedziała z przekąsem, — pójdę z panem Niedzickim.

— O, co to, to nie! Ja wziąłem panią z domu, ja odprowadzę, — rzekł stanowczo Marski, — a kiedy się zobaczymy? — patrzył na Natalcię.

— Nie wiem... jutro będę z Romcią w kościele, a potem na linii A-B.

— Może i my będziemy, — poprawił binokle i wzrokiem pytał Stasię.

— Być może, ale nie jestem pewna. Może przyjdzie do nas ciotka męża, — powiedziała Stasia.

— Ach, ta pobożna! — zaśmiał się Marski.

— Ta sama.

Wyszli z kawiarni, a ponieważ panie mieszkają każda w innej dzielnicy, wkrótce pożegnały się bardzo uprzejmie, obiecując sobie znów kiedyś spędzić ze sobą podobny i równie miły wieczór. Dwaj panowie umówili się o miejsce spotkania, ażeby razem udać się do mężów.

Gdy Natalia z Niedzickim została sama, spytała z żywością:

— Jak ona podobała się panu?

— A pani?

— Ona wcale ładna, tylko usta ma za szerokie i brak jej dwóch zębów. Nos też nieszczerólny, mięsisty... i czoło bardzo niskie. No, i ręce grube, ale zresztą przystojna i dość dobrze ubrana, tylko, że nie umie nosić i pokazać sukni. No, a pan co sądzi?

— Może ona dla pani ładna, ale ja nie dowierzam brunetkom... i ona ma w oczach coś nieokreślonego...

— O, tak, tak... podstępna... a widział pan, jak brudną ma szyję? Ręczę, że może raz na tydzień, albo na miesiąc myje się. I dziwi mnie, że Marski, taki wybredny i wykwinny człowiek, może być nią zajęty?

— Hm... są różne gusta... ja mam wrażenie, że jej pot czuć, ja tego nie znoszę, ale widocznie Marski to lubi.

— To bardzo możliwe, że ja czuć, bo używa bardzo silnych pertum, ale jej sukni dobra... jestem pewna, że to gust Marskiego. Ona dawniej znacznie gorzej się ubierała.

— Może i tak, chociaż wątpię, czy Marski zna się na sukniach.

— O, napewno! Przecież ma żonę... A jak pan myśli, jakiego rodzaju jest ich stosunek?

— Marskiego do żony, musi być nieszczerólny.

— Ależ nie!... z Orszyką?

— Z nią... napewno lepszy, aniżeli mój do pani. Widziałem, jak dawali sobie znaki pod stołem.

— Jakaż ona bezwstydną! — oburzyła, — tak się afiszować publicznie... w kawiarni... a gdyby ją kto widział na ulicy, w tej sukni, nigdy nie przypuściłby coś podobnego... Ach! gdybym ja miała tylko trochę pieniędzy! — westchnęła.

— To i co? — spytał obojętnie.

— Kupiłabym sobie, — mówiła z ożywieniem, — do mego letniego kostiumu... do tego błękitnawego, znasz go przecież... buciki tego samego koloru, kapelusik skromny, pończoszki takie same i rękawiczki. Dopiero byłby szyl, jak mówią Warszawianki. Cóż ty... panie Lolku, na to?

W cieniu nocy nie znać było jego skrzywienia, ale w głosie czuć było pewną obawę i troskę:

— Zapewne, to byłoby sztykownie... a drogo to kosztuje?

— Co? — niby to zdziwiła się.

— Te pantofelki, kapelusik, pończoszki...

— A, o to pan pyta? To drobnostka, ja umiem kupować bardzo tanio. Znam sklepy na Kazi-

mierzu... Pończoszki, jakie półtorej korony... kapelusik, bardzo skromny, może dwanaście... pantofelki ze sześć albo osiem... no i rękawiczki. Ale niech mi pan nie robi oskomy, — zaśmiała się, — to tylko żarty... ani myślę tyle wydawać na stroje...

— Hm... to razem dwadzieścia koron, — namyślał się, wtem poczuł lekki uścisk spowodowany nachyleniem się Natalci, która w ten sposób chroniła buciki od powalania w rozlanej wodzie. Przycisnął ją silniej do siebie i szepnął: — Natalia, a wyjedziemy na dzień? na dwa?

— Już mówiłam... muszę znaleźć przyczynę, i trochę się boję plotek.

— Nikt nas nie zobaczy... no, dobrze?

— Cóż mam robić?... niech i tak będzie, — zaśmiała się, — nie umiem się oprzeć.

— Więc kup sobie te rzeczy... pożyczę ci dwadzieścia koron.

— I pięć! — zaśmiała się.

— Dobrze, i pięć!

Stanęli przed bramą, on zaledwie miał czas ucałować jej rękę, gdy stróż otworzył bramę, wypuszczając kogoś z kamienicy.

Oboje odskoczyli od siebie, on złożył ukłon ceremonialny i rzekł:

— W sprawie, o której mówiliśmy, postaram się jutro zobaczyć panią, a w danym razie przyjdę do państwa.

— I owszem, proszę pana, mój mąż będzie bardzo zadowolony.

III.

Dla pań w rodzaju Romci, Natalci, Stasi i ich przyjaciółek i znajomych bywanie w kościele stanowi nie tylko obowiązek religijny, którego zaniebanie jest wielkim grzechem, ale zarazem uważają to za brak taktu i osobistej godności, ażeby nie być w niedzielę na sumie w kościele Panny Maryi, a wracając do domu nie przejść się po linii A-B. Zapewne jest w tem odrobina próżności, ażeby pochwalić się spełnieniem przykazań kościelnych, dać dobry przykład niedowiarkom, pomijając już pokazanie nowych strojów, miłe spotkania i jeszcze miłszą krytykę swych przyjaciółek i znajomych.

Cóż dziwnego, że Romcia bardzo sumiennie i starannie przygotowywała się na sumę niedzielą. Suknię odświeżyła w sobotę rano, zerwawszy się z łóżka zaraz po wyjściu męża. Czula się niewyspaną, gdyż w nocy męczył ją niepokój, gdzie i jaki kapelusz kupi za pożyczone od Bachmackiego pieniądze.

Z kupna kapelusza obiecywała sobie dużo przyjemności, bo nie idzie o samo kupno, ale o wstępowanie do wszystkich modnych magazynów, o przypatrzenie się i próbowanie najróżnorodniejszych fasonów, o targowanie się z kupcem, a przytem słyszy się tyle dobrych, przyjemnych a prawdziwych słów o swej twarzy, włosach, oczach, wyglądzie.

Naturalnie Natalci i żadnej znajomej nie może wtajemniczać w to kupno, postanowiła bowiem zająć się nowym kapeluszem niespodziewanie i napić się widokiem ich zdumienia i napewno zazdrości.

Na razie chciała wziąć matkę ze sobą na tę wyprawę, ale rozmyśliła się. Matka, zajęta sklepikiem i gospodarstwem, nie wie, co modne, będzie się rozwodziła nad wydatkami niepotrzebnymi; wreszcie, będzie chwaliła każdy kapelusz, bo w oczach matki w każdym kapeluszu jest jej do twarzy. Przez miłość zatraciła krytykę.

Ostatecznie wszędzie są lustra i sama najlepiej osądzi, jaki jest kapelusz.

Mając tyle pieniędzy, postanowiła kupić jeszcze kilka drobnostek, nowe rękawiczki, koronkowy kołnierzyk i jeśli się uda, pantofelki, bo te kupione wprawdzie przed miesiącem, ale mają obcaszki za szerokie, gdy w ostatnich dniach zaczęto nosić wysokie a wąskie.

Pochłonięta tak ważnymi sprawami, nie miała czasu zarządzić obiadu i zostawiła to na gust Marcinowej.

Wyszła przed godziną dziesiątą, ale do czasu obiadu, do pierwszej godziny, zaledwie kilka magazynów obeszła i nie zdecydowała się na kupno.

Obiad był postny, Marcinowa bowiem należała nie tylko do gorliwie praktykujących katolików, ale i do trzeciego zakonu św. Franciszka, gdy tedy pani zostawiła jej wybór potraw na obiad, uważała za grzech gotować obiad z mięsem, gdyż w tę sobotę przypadała jakaś wigilia.